

Piotr Guskowski

Po prostu wiem, czego nie chcę” – mówi Dorota Pomykała, pytana, skąd się bierze jej siła.
Twierdzi, że „role jej się przydarzają”. Ale, umówmy się, takie role jak w filmie „Kobieta na dachu” Anny Jadowskiej nie przydarzają się zbyt często.
Pomykała wcieliła się w położną po sześćdziesiątce. Do tego stopnia skupia się na potrzebach innych, że stała się prawie niewidzialna, jakby wyblakła. I nagle wchodzi do banku, wyciąga z torebki nóż i mówi: – Proszę pani, to jest napad.
To rola z nagrodami na festiwalu w Gdyni i Tribeca Film Festival w Nowym Jorku.

ROZMOWA Z
DOROTĄ POMYKAŁĄ*
aktorką

PIOTR GUSZKOWSKI: „Piszcie dla nas. Myślę, że my, kobiety po sześćdziesiątce, mamy coś do powiedzenia” – powiedziała pani do scenarzystów, odbierając nagrodę na festiwalu w Gdyni.
DOROTA POMYKAŁA: Proszę spojrzeć na Frances McDormand, na Emę Thompson... Mają zmarszczki, ciała też już nieidealne. Ludzie najwyraźniej zaczynają rozumieć, że nie tylko młodość jest ciekawa, że dojrzałość ma swoje potrzeby, bo chcą te aktorki oglądać. Ale role, jak moja w „Kobiecie na dachu”, w polskim kinie prawie się nie zdarzają. Stąd ten apel. Przyszedł mi do głowy spontanicznie. Natchnął mnie Cezary Harasimowicz, który chwilę wcześniej mówił: „Kochajcie scenarzystów”. W trakcie gali Ania Jadowska zapytała nawet, czy przygotowałam sobie przemowę. Sądziłam, że ze mnie żartuje. Ale za chwilę serce mi zaczęło mocniej bić, bo przecież racja, nie posadzili nas w tym pierwszym rzędzie bez przyczyny. Do samego końca łapałam myśli, jeszcze wchodząc na scenę – zatrzymałam się i ukloniłam. Pamiętałam, komu podziękować. Jednocześnie, wzruszona, próbowałam opanować treść. Mam takie swoje myki.

Chciała pani zostać psycholożką.
– Lubię słuchać. Najchętniej odwróciłabym teraz role i zadała panu kilka pytań. Kiedy wyjeżdżaliśmy z rodzicami na wczasy, zdarzało mi się zagadywać na plaży kobiety. Zawsze znalazłam pretekst: podałam piłkę, pomogłam przy dziecku. Szybko się otwierały. Jedną zapytałam, jak poznała męża. Stała na krawędzi basenu, nagle facet ją wepchnął do wody. Była wściekła. I proszę sobie wyobrazić, że wyszła za niego. Do dziś pamiętam tę kobietę. Z rozpędu zaczęła mi opowiadać o swoim życiu. Najwyraźniej nie miała



„Kobieta na dachu” Anny Jadowskiej

POMYKAŁA: ZOBACZ SWOJE WNETRZE

Po seansie w Gdyni napisała do mnie nauczycielka z Koszalina: „Dorota, wcieliło mnie w fotel, zobaczyłam na ekranie siebie”. I kategorycznie – takiego słowa użyła – film powinien zobaczyć wszystkie 30- i 40-latki, żeby nie przesrać życia.

komu, nie zastanawiając się, że rozmawia z dzieckiem.
Rówieśnicy mnie nie interesowali. Spędzałam dużo czasu z koleżankami starszej siostry. Zawsze zastanawiałam się, jak mogłabym im pomóc, rozwiązać miłosne problemy i takie tam. Dawniej, jeżdżąc tramwajami, wgapiałam się w pasażerów i na podstawie tego, jak siedzą albo są ubrani, układałam w głowie całe życiorysy. Psychologia i aktorstwo to zresztą w pewnym sensie pokrewne dziedziny. Tylko że być aktorem to mniejsza odpowiedzialność. Wystarczy się tekstu nauczyć.

Wcześniej pani zaczęła? Pytam o uczenie się tekstów i aktorskie zacięcie.
– Prawdę mówiąc, o aktorstwie nigdy nie myślałam. Rozśmieszać klasę, owszem, umiałam. Ale do kółka teatralnego wciągnąć się nie dałam. W drugiej klasie liceum poszłam zobaczyć, na czym to polega. Zniechęciłam się, jak tylko zobaczyłam dziewczynę, która recytowała tekst, przesadnie artykułując każde słowo. Okropne to było, nie moja bajka. Poza tym aula za duża, trzeba by takiego głosu użyć, żeby ci na końcu usłyszeli, a ja jestem raczej kameralna.
W takim razie skąd to aktorstwo?

– Ksiądz na religii powiedział, że dostaliśmy różne dary i naszym obowiązkiem jest je w życiu wykorzystać, a przynajmniej sprawdzić. A jak sprawdzić, czy się ma talent aktorski? Po prostu poszłam na egzamin do krakowskiej PWST. Właściwie, wstyd przyznać, bez przygotowania. Uznałam, że jak mnie zobaczą, to będą wiedzieli, czy się nadaję. Pamiętałam ze szkoły „Inwokację”. Jako wiersz zaprezentowałam „Urszulę Kochanowską”, którą śpiewała Urszula Sipińska, a z prozy życiorys Władysława Reymonta. Ale jakby mi kazali go wtedy powtórzyć, toby dopiero była wtopa, bo większość zmyśliłam. Na pewno tekst zaczynał się od słów: „Dzieciństwo miałem dość smutne. Było nas dzieci dziewięcioro...”.
W domu nikt nie wiedział, że poszłam na egzamin. Wysłałam telegram do rodziców, którzy pojechali na wakacje, że się dostałam na aktorstwo: „Co wy na to?”. Tata odpisał: „Czekam na dworcu w Jastarni. Przyjeżdżaj”. Potem zarządził rodzinną naradę. Rodzice nie byli wykształconymi ludźmi, ale stwo-

*Dorota Pomykała

• Na dużym ekranie debiutowała w 1978 r. epizodem w „Aktorach prowincjonalnych” Agnieszki Holland. W pamięci pozostały jej kreacje w „Wielkim Szu”, „Chce mi się wyć” czy „Spisie cudzołożnic”. Za drugoplanową rolę w „Moim mieście” zdobyła nagrodę w Gdyni. Ostatnio wystąpiła też w nominowanej do Oscara krótkometrażowej „Sukience”. Od lat zachwyca na deskach Starego Teatru, gdzie dostała angaż od razu po szkole. Śmieje się, że to, z jakim repertuarem kojarzy ją publiczność, zależy od miasta: w Krakowie grywa głównie role dramatyczne, w Warszawie – raczej komediowe.

ZYŁAM

rzyli dla nas szczęśliwy dom. Uznałam, że skoro mnie na studia przyjęli – w dodatku na wysokim, drugim miejscu, to zobaczę, jak to jest. Z perspektywy widzę, jakim byłam jeszcze dzieckiem. Młodzi ludzie są dziś znacznie bardziej dojrzały i świadomi, czego chcą.

Ostatnio wystąpiła pani w nominowanej do Oscara krótkometrażowej „Sukience”. Dlaczego nie poleciała pani na galę?

– Bo się boję. Na samą myśl, że zamknęliby mnie w puszce na kilkanaście godzin, robi mi się słabo. W dodatku miałam lecieć sama, z przesiadkami. Jak się jest młodym, nie ma rzeczy niemożliwych, z wiekiem człowiek zaczyna się zastanawiać, co wypada, czy to bezpieczne.

Do Nowego Jorku z „Kobietą na dachu” się pani nie bała?

– Do Nowego Jorku jest bliżej. Jakoś to sobie w głowie ułożyłam. Na Krete, którą uwielbiam, lecę trzy godziny. Uznałam, że do Nowego Jorku pierwszych

dwóch godzin w ogóle nie zauważę, ostatnie pół też jakoś zejdzie. To zostało ile, trzy?

Trochę się w pani kreatywnym liczeniu pogubiłem.

– Zaprosiłam Kamillę Baar, z którą się przyjaźnię, żeby było mi raźniej. W razie co pomogłaby też w trakcie spotkań z publicznością, gdyby zabrakło mi jakiegoś słowa. W trakcie lotu zagałam się ze stewardesami i jakoś zleciało. Zwiedziłyśmy z Kamillką miasto, o nagrodach żadnych nie myślałam. Zastanawiałam się, czy Amerykanie zrozumieją nasz film – czy oni znają takie osiedla, takich ludzi. Jak po seansie podchodzili ze łzami w oczach, to rozumiałam, że nakręciliśmy coś uniwersalnego. Nie mogłam się doczekać, aż zobaczą go Polacy. Po seansie w Gdyni napisała do mnie nauczycielka z Koszalina: „Dorota, wcięło mnie w fotel, zobaczyłam na ekranie siebie”. I kategorycznie – takiego słowa użyła – film powinny zobaczyć wszystkie 30- i 40-latki, żeby nie przesrać życia.

Jakie to uczucie stać przez kilka godzin na krawędzi dachu II-piętrowego bloku?

– Trudno to opisać. Jest coś takiego, że ciągnie człowieka w dół. Obok stał kaskader, który trzymał mnie za rękę i nie pozwalał się ruszyć. A moja cudowna asystentka pilnowała, żebym się nawadniała. Upał był nie do zniesienia, prawie 40 stopni, wszędzie stara papa. Tego by jeszcze brakowało, żeby odtwórczyni głównej roli kofnęła w trakcie zdjęć. Byłam wyczerpana fizycznie. Ale emocjonalnie również. W nocy nie mogłam spać. Myślałam cały czas o Mirce: pospinanej kobiecie, wewnętrznie zasznurowanej – jak to ujęła Ania Jadowska, kobiecie, która ma swoją godność i niczego się nie domaga. Przeżywałam jej dramat samotności, niezrozumienia.

Czytając scenariusz, miała pani wrażenie, że zna tę „wewnętrznie zasznurowaną kobietę”?

– Dobrze ją znałam. Wiele kobiet tak żyje, może te młodsze dziś mają już inną perspektywę. Ale na Śląsku, gdzie się wychowałam, kobieta skupiała się na tym, żeby wszyscy byli zadowoleni – mąż, dzieci, żeby było ugotowane, posprzątane. Zajmowanie się domem stało się sensem życia.

Jedyne, co robi dla siebie, to wymyka się czasem na dach zapalić papierosa.

– Piotr Bartuszek, reżyser obsady, wysłał mi do przygotowania dwie sceny. „Proszę pani, ja sobie nie mogę wyobrazić, że siedzę w kawiarni i jem ciastko” – mówi Mirka do psycholożki. Dla niej to niewyobrażalne, że robi coś dla siebie. Poczułam to od razu, wręcz organicznie. Nie mogłam się doczekać zdjęć próbnych. Pamiętam, że jak weszłam, reżyserka zapytała: „Czy chciałaby pani najpierw porozmawiać o roli?”. „Nie, wolę grać” – odparłam bez zastanowienia. I wszyscy jakby prze-

budzili się ze zdziwienia. Nie znalazłam wtedy jeszcze Ani, nie wiedziałam, czy mogę improwizować – a bardzo lubię, najchętniej w ogóle nie uczylałabym się tekstu, tylko mówiła swoimi słowami na określony temat. Sekundowała mi wspaniale aktorka Dominika Biernat.

Ludzie dziękują pani za ten film, za rolę Mirki. Przyznają, ile im dała. A pani wzięła z niej coś dla siebie?

– W trakcie kręcenia scen na sali sądowej, kiedy przepraszam pracownicę banku za to, co zrobiłam, wydawało mi się, że to już jest to. Ale Ania mówiła: „Dorota, jeszcze za dużo”. Moja twarz zupełnie się nie ruszała, nawet rzęsa mi nie drgnęła. Narastał we mnie bunt, bo wydawało mi się, że już oszczędniej się nie da, że nie potrafię. I stało się coś niezwykłego: po kolejnym „jeszcze za dużo” przekroczyłam w sobie próg, którego nie znałam. Jakbym to już nie była ja, tylko zupełnie ktoś inny.

Wie pan, poprzez aktorskie zadania, które dostajemy, możemy się lepiej poznać. Dzięki tej roli miałam szansę zobaczyć swoje wnętrze. Introwertyczność, o którą w ogóle nie jestem podejrzewana. Na co dzień mam energię, wręcz włoski temperament, jestem ekspresyjna. Zresztą sam pan się już zdążył przekonać [kiedy stolik obok nas w kawiarni zajęła para, Pomykała tak poprowadziła rozmowę, że po chwili sami zaproponowali: „To my się przesiądziemy, żeby nie przeszkadzać”]. Takie sytuacje nic mnie nie kosztują.

„Kobieta...” została świetnie przyjęta na Tribeca w Nowym Jorku, potem w Gdyni – z obu festiwali wróciła pani z nagrodami. Ale na filmowym talentie Doroty Pomykały pierwsi poznali się Duńczycy. W 1991 r. za rolę w „Urodzinach Kaja” otrzymała pani Roberta, czyli duńskiego Oscara.

– Dostałam telegram: „Dorota, czy możesz przyjechać do Kopenhagi w sprawie jedna nagroda? Pomożemy z paszportem”. „W sprawie jedna nagroda” – tak mi przetłumaczono. Reżyserka zaprosiła mnie do siebie, mieszkała w dzielnicy Hellerup. Dziś nazwisko Lone Scherfig jest powszechnie znane, ale to było, jeszcze zanim nakręciła filmy „Włoski dla początkujących” czy „Wilbur chce się zabić”, dopiero debiutowała. Rozmawiałam z nią kaleczącą uszy angielszczyzną. Poradziła, żebym zagrała zdziwienie, jak mnie wyczytają.

Nie mogłam się doczekać zdjęć próbnych. Pamiętam, że jak weszłam, reżyserka zapytała: „Czy chciałaby pani najpierw porozmawiać o roli?”. „Nie, wolę grać” – odparłam bez zastanowienia

Zaproponowała, że wcześniej zabierze mnie na obiad. – Tylko muszę wziąć pieniądze – powiedziała i poprosiła, żebym chwilę poczekała. Ja patrzę, a ona podchodzi do ściany. Coś tam naciśka, po czym ze ściany wychodzą pieniądze. Dla mnie to był szok. W Polsce bankomatów praktycznie nie było, wszystko pachniało jeszcze komuną. Jakiś czas później pojawiły się pierwsze komórki. Z dzisiejszej perspektywy brzmi to śmiesznie, ale wtedy mieć komórkę to był obciach. Magda Cielecka chowała się za kotarą Starego, kiedy rozmawiała. Przynajmniej takie było myślenie w teatrze: „Jak to, my, wolni ludzie, mamy się uzależniać?”.

Mnie interesuje, jak się pani w tym duńskim filmie w ogóle znalazła.

– Naprawdę? Bo ta historia wymaga bardzo długiego wstępu. Nie chcę się zamienić w Mniszkównę.

Inaczej bym nie pytał.

– Dobra, niech panu będzie! Kręciłam we Wrocławiu „Chce mi się wyć” Jacka Skalskiego i zaraz zaczynałam „Szklany dom” z Małgorzatą Kopernik. To piękny film, w którym odbieram po pracy córkę z przedszkola, a kiedy docieramy na miejsce, okazuje się, że naszej kamienicy nie ma – jakby nigdy jej nie było. Szkoda, że przeszedł bez echa. Przez dwa miesiące ze względu na zdjęcia byłam właściwie wyjęta. Nie wiedziałam, że koledzy i koleżanki w teatrze pracują z Andrzejem Wajdą nad „Hamletem IV”. Po powrocie z planu do hotelu dostałam wiadomość, żebym pilnie skontaktowała się z dyrektorem w sprawie wyjazdowej. Potrzebne było zastępstwo za Ewę Lassek. Najlepiej z obsady „Dybuka”, w którym występowałam, bo ten spektakl miał ruszyć razem z „Hamletem IV” w światowe tournée. Wajda wymyślił, że przepoczwarzę się w matkę starszej ode mnie Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej. Wszystko przez moje wory pod oczami.

Sugerowano, żeby pani je sobie operacyjnie usunęła...

– Nigdy w życiu! Dzięki tym worom pod oczami zarobiłam na peugeota.

Po zdjęciach popędziłam z Wrocławia do Warszawy, żeby zdążyć jeszcze przed wylotem przegadać z Wajdą rolę Gertrudy. Jak skończyliśmy, zapytał, czy mnie gdzieś podrzucić. Mówię mu, że są takie zdjęcia próbne do duńskiego filmu, o których wiem od producenta Zbigniewa Grabowskiego, ale chyba nie dam rady. – Nie bój się, będzie pięknie – zapewniał Wajda i zawiózł mnie na Chelmską. Poprosili, żebym się przedstawiła po angielsku. Na co ja, że mogę po polsku, bo angielskiego nie znam. Potem zapytali, czy wyjechałabym za miłością do Danii. – W życiu! Jak facet coś ode mnie chce, niech sam przyjeżdża – odparowałam. Nazajutrz wyleciałam, dlatego Grabowski nie mógł mnie znaleźć. A Lone zagroziła podobno, że beze mnie nie robi tego filmu. ●